

ANTONI PAWEŁ



WIECZNY TUŁACZ

POEZYJE



SKŁAD GŁÓWNY: GEBETHNER I WOLFF WARSZAWA
□□□ KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA □□□

1912

WIECZNY TUŁACZ

mgr. Irena Porawska
Wadowice
ul- 26-go Słycznia

55

ANTONI PAWEŁ

...

WIECZNY TUŁACZ

POEZYJE



Kolekcja
Emila Kornasia

SKŁAD GŁÓWNY: GEBETHNER I WOLFF WARSZAWA
□□□ KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA □□□

1912



CH KEK

317.6033

ERAKÓW. — DRUK W. L. ANCYCA I SPÓŁKI.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. DI nr 91 /2012/ CH

WIECZNY TUŁACZ.

Naprzód i naprzód życie mnie gna,
Choć szmerem żal mój nucę...
Gdzie kraj rodzinny, kolebka ma —
Już nigdy nie powrócę.

Wspomnienie tylko w piersi mej trwa,
Tęsknota prze gorąca
Tam, gdzie z wichrami orlica gra
I skrzydłem skały trąca.

Tam, gdzie w powietrzu żywicy woń,
Gorąca pieśń, swoboda,
A w moją bystrą, przejrzystą toń
Góralka patrzy młoda.

W tył prze tęsknota a życie w przód...
I płynę w dół, w pokorze,
Pomiędzy cichy, łagodny lud,
Co czarną ziemię orze.

Zielone trawy, złocisty kłos
Wzięły mnie w swoje dłonie,
Aby osłodzić tułacza los,
Osuszyć z potu skronie.

Dobrzy są ludzie i piękny kraj,
Lecz coraz smutniej dokoła;
A matka-góra, mój ziemski raj,
Napróżno za mną woła.

— Dalej i dalej przed siebie leć!
Choć żal się w tobie kłębi...
Chwili spoczynku nie będziesz mieć,
Aż zginiesz w morskiej głębi! —

W niemej rozpaczy zgrzyta mój żwir
I toń ma łą się mąci...
Próżno! mnie nawet zawrotny wir
Z drogi już nie wytrąci.

Zapóźno! Coraz to słabszy bieg,
Coraz to sił nie staje,
A brud życiowy na piersiach legł
I spłókać się nie daje...

Naprzód i naprzód życie mnie gna,
Choć szmerem żal mój nucę...
Gdzie kraj rodzinny, kolebka ma —
Już nigdy nie powrócę.

TOAST.

Panie!... Panowie!... za wasze zdrowie!...
W kielichy dolać szampana,
By skrę rozumu zatopić w głowie:
Niech zagrzmi pieśń rozhukana!

Rozkoszne panie! Nasze zebranie
Głosi zasadę jedyną,
Którą uczcijmy wraz przez powstanie:
Pieśni, kobiety i wino!

O tak... prześlicznie! Zebrani licznie,
Z podniosłym ducha nastrojem,
My przysięgamy teraz publicznie
Nie gardzić żadnym napojem!

My, wolni ludzie, oto w tej budzie
Przeziąkłej winnym oparem:
Kobiet-sfinksie! natury cudzie,
Kłękamy przed twoim czarem!

Panowie!... Panie!... dokąd tchu stanie,
Dokąd się życia nie prześni,
My pierwsi staniem, na zawołanie —
Do wina! i do pieśni...

D A R.

Bywaj zdrowa! czarnooka — —
Za gościnę — całus dam.
Bo choć kieszeń ma głęboka,
Jednak pustki świecą tam.

Nie wiem, moje dziewczę polne,
Jaki ci zostawić dar? —
Chyba serce moje wolne
I gorące, niby war.

Sama jego znasz zalety.
Więc je bierz — na dzień lub dwa —
Potem zwróć!... Bo bez monety
I bez serca — doła zła...

POETA.

Poetą został w krótkim czasie,
Poetą, jak Pan Bóg każe:
Śniadania jadał na Parnasie,
A obiad — niekiedy — w barze.

Podczas śniadania rzucał butnie
Przekleństwa na ludzkie hordy...
Zaś po obiedzie swoją lutnię
Na smętne stroił akordy.

Poetą był! — był, bez wątpienia:
Gdy deszcz przez buty przeciekał,
On opisywał swe cierpienia
I precz od ludzi uciekał.

A kiedy budził go z zadumy
Śmiech czarującej sąsiadki —
To pieśnią łkał, jak wichrów szumy,
Albo jak pisklę do matki.

W duszy poety zmienne losy
Niejedną wyryły bliznę.
Głupstwo! — zapuścił długie włosy
I rzadziej zmieniał bieliznę.

A potem umarł. — Jak łąza czyste
Poety skonało serce...
Wielkiego stracił świat artystę:
Na ślubne stanął kobierce...

.

Dźwięki organów grzmą w niebiosy...
Nieśmiało stoi przy ołtarzu
Młodzieniec blady, długowłosa
I wdowa po sklepikarzu.

W INNY KRAJ!

Za mną cały świat zostaje...

Twardy kostur w moim ręku.

Bez żałości i bez lęku

Idę naprzód — w inne kraje!

 Za mną cały świat prześniony:

 Miłość, szaty i porywy,

 Żywot huczny, błyskotliwy...

 Świat bajeczny, urojony.

W inny kraj! — sny do mogiły...

To, co było, nie istnieje.

Ten nie zbiera, kto nie sieje,

A do orki starczy siły!

 Twardy kostur w mojej dłoni,

 Bo okuty doświadczeniem...

 Pierś nie zadrży już westchnieniem,

 Oko łzy już nie uroni.

PUSTELNIK.

Tam, gdzie źródliska górskich zdroi
I niedostępne, dzikie jary,
Do skał przywarta chatka stoi
A w niej pustelnik mieszka stary.

Od niepamiętnych lat tu żyje,
Samotny, cichy i milczący.
Przed ciekawymi bór go kryje,
Dostępu strzeże potok rwący.

Kiedy poranna zorza wschodzi,
Brzeg nieba ledwo się czerwieni,
Starzec z pustelni swej wychodzi
I wolno kroczy, wśród kamieni,
Stromą ścieżynką, na szczyt góry.
U nóg się jego bór zieleni,
Nad głową błędzą białe chmury,
Na horyzoncie — krąg promieni.

I starzec stoi, zapatrzony
W rozbudzającą się przyrodę;
A myśl mknie chyżo w inne strony...
A wiatr kołysze białą brodę.
Czarem przyrody wzrok olśniony...
Nagle, wspomnienie się odzywa
I z głębin duszy, zatajony,
Obraz przeszłości się wyrywa.

Chwieje się starzec — i pobladła
Twarz, zębem czasu poorana.
Jakgdyby góra nań upadła,
Pustelnik zgina swe kolana,
O zimne skały czołem bije...
Świeżą krwią broczy zaschła rana;
Co dawno zmarło, znowu żyje,
Znowu się wiąże nić stargana...

LEW.

W żelaznem zamknięciu leży
Wspaniały lew;
Złocistą grzywę mu jeży
Wściekłość i gniew.

Potężne piersi uciska
Tłumiony ból:
Przedmiotem jest widowiska
Pustyni król!

Z pogardą patrzy na tłumy
Więzień z za krat.
Nie złamie królewskiej dumy
Niewoli bat!

On jeszcze kiedyś pokruszy
Żelazną sieć,
A wtedy — motłoch poruszy
Przed królem drzeć!

Wbije mu w ciało pazury,
Wychłepce krew!
Na strzępy potarga skóry —
On! — wolny lew!

DWIE GWIAZDY.

Przez polne szliśmy ugory
W noc cichą, jasną, wiosenną...
Wtem — gwiazdy, słońce meteory
spadły przede mną.

Jak błyskawice świetliste
Siłami rzucone złemi,
Na sny opadły wieczyste
do zimnej ziemi.

Na zimne, polne ugory,
Spadły gorące i czyste
Łzy, twoich ócz meteory,
łzy twe srebrzyste.

I znowu cicho w przestworzu...
Przed nami pustka bez końca,
A w górze, w błękitach morzu —
gwiazdy i słońca.

Lecz żadna nie wróci siła
Dwóch gwiazdek na słońc ich łona:
Bo łzy twoje już wypła
ziemia spragniona.

Z DALEKICH KRAIN.

Z dalekich krain ślę lotne pieśni moje,
Niech płyną, jak echo z górskich hał,
I rozplómięnią dziewicze serce twoje...
Niech dzwonkiem dźwięczą w daleką dal!

Niechaj krąg zatoczą nad twem jasnym czołem,
Zagrają w cudny słowików chór,
W snach twych niech cię strzegą ze stróżem
Oplotą piersi, jak pereł sznur. [aniołem,

Na słońca promieniach, na skrzydłach motyli,
Ze szmerem strumyka, z wonią róż —
Echo moich pieśni do ciebie niech kwili,
Od nieszczęść broni, od srogich burz.

A jeśli niekiedy stęsknisz się za ciszą
I gdy cię już znuży życia moc,
To niechaj twą główkę do snu ukołyszają
Bajeczką z »tysiąc i jedna noc«.

A więc — pieśni moje, wyśpiewane tobie,
Niech płyną z echem karpackich hal,
A w chwilach nieszczęsnych, gdy zwątpisz
[o sobie —
Niech dzwonkiem dźwięczą w daleką dal...

TAM STERUJ, ŻEGLARZU...

Tam steruj, żeglarzu, gdzie słońca skry
W błękitnej kąpią się fale,
Gdzie z wody wychodzą poranne mgły
I nikną w zawrotnej dali.

Tam pływamy, gdzie długie konary drzew
Smutnie zawisły nad wodą,
A ptaszki chórem nucą swój śpiew
Z pełną radości swobodą.

A więc: do słońca, zieleni, drzew
Popłynemy po wód kryształ!...
Tam steruj, żeglarzu, gdzie ptasząt śpiew,
Przez jasno-błękitne fale.

FATA MORGANA.

Z dymem wonnego kadzidła,
W anielskie wstuchany tony,
Duch dziecka rozwijał skrzydła
I leciał przed boskie trony.
Prochy ścierały kolana...
To była: *fata morgana*.

W młodzieńcu ognie goreją,
Rozkoszne myśli się snują,
Bo lube oczy się śmieją,
Ogniste usta całują.
— »Do grobu wierna, kochana!«...
To także: *fata morgana*.

Do działań rwie się potężnie
Duch męski, do czynu skory:
Ziemię poruszy! i męźnie
Połamię wszelkie zapory...

28

Stara piosenka i znana —
To tylko: *fata morgana*.

Śniegiem sprószona jest głowa,
Przed okiem wędrują cienie...
Starzec przed ludźmi się chowa,
Niejedno żuje wspomnienie
I nieraz дума do rana,
Że wszystko: *fata morgana*.

DO ATAKU.

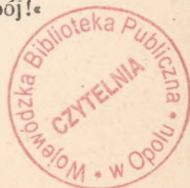
Walka wre już od poranku — —
Życia łamią się, jak szkło;
A od mostku, bez przestanku,
Ogniem zieje armat sto.

Cały szwadron legł pokotem,
Jakby weń uderzył grom...
Ciała, pomięszane z błotem,
Krwiał porażki płócią srom.

Wódz spogląda w nasze strony...
Skinął ręką... będzie gra.
Poseł pędzi jak szalony,
Z pod kopyta pryska skra.

To od śmierci idą swaty...

.....
»Baczność!... formuj się!... stój — stój!...
Do ataku na armaty!
Zwycięstwo, lub... Naprzód!... w bój!«



POWRÓT.

Tak, mój koniu, towarzyszu:
Ucho stracił dzban.
Resztę młodych dni w zaciszu
Dokończy twój pan.

Na swe barki, koniu siwy,
Jak dziecko mnie weź
I do domu biało-grzywy,
Do domu mnie nieś!

A powoli nieś, nieboże,
Powolutku — doń,
Bo kierować teraz może
Jedna tylko dłoń.

I głowa się jeszcze chwieje
Z niezgojonych ran...
Widzisz, koniu, źle się dzieje,
Zmarnował się pan!

Ale w domu — milczeć, koniu!
O tem — cicho, sza!
Niech nie padnie tam, w ustroniu,
Ani jedna łza.

Czemuś stanął, biało-nogi?...
Czemu rzy mój koń?...
Czy z ogródka mej niebogi
Doleciała woń?

Wolniej, koniu, idź po trawie,
Cichutko mnie złóż
Na zielonej tam murawie,
Lub pod krzakiem róż.

A gdy wyjdzie ma nieboga
W krasie swoich lic,
Wtedy, koniu, milcz! na Boga,
O mnie nie mów nic!...

BEZ SERCA.

Był wielkim kupcem i groszorem...
A chociaż ludzie zwali go snobem
I samolubem, on nie dbał o to:
»Robił« majątek i zbierał złoto.

Lata płynęły i marli ludzie.
On nie ustawał w swym znojnym trudzie,
W swej gorączkowej złota pogoni...
Aż włos pobielał na jego skroni,

I starcem zbliżał się do mogiły.
Wiekiem i pracą sterane siły
Ciszy żądały i wypoczynku...
Spadały akcje na życia rynku.

Lecz gdzież to życie, co już ulata?
Gdzie przyjemności, rozkosze świata —

Których nie zaznał? Gdzież są cierpienia,
Walki sercowe, złote rojenia?

Sercowe? Ach, tak... Przed wielu laty
I on miał serce. — Nie był bogaty,
A ona także była uboga...
I rozdzieliła ich nędzy trwoga.

Uciekł haniebnie... A potem serce
Zamknął wygodnie, jak w tabakierce —
Do dużej księgi, której dwie strony:
»*Debet i Kredyt*« mają znaczoney.

I odtąd — dobrze było na świecie...
Myśli swobodne, nic go nie gniecie
I nic nie gnębi tam — z lewej strony...
Księga wierniejszą była od żony.

A oprócz księgi nie miał nikogo;
Wszyscy od niego stronili wrogo...
Czemu? — że nie pomagał w potrzebie?
Wszak serca nie miał — nawet dla siebie.

Tak, serca nie miał — lecz ma pieniądze...
I nagle czuje gwałtowną żądzę
Starzec nad grobem: na chwilę ożyć!
Raz jeszcze serce do piersi włożyć!

I drżącą ręką przerzuca karty
Pożółkłej księgi... Wtem — liść podarty,
Zwiędły, z szelestem pada na stronę...
Starcze! to serce twe zasuszone.

M Y Ś L.

Spłoszone myśli, jak gumowe piłki,
Skaczą, o ściany uderzając czaszki;
A mózg skłębiły kurczowe wysiłki,
By jedną schwycić, która, jak z igraszki
Pierzcha... ucieka... kryje się w ciemnicy...
Wreszcie rozplywa we mgłach tajemnicy...
.
Wieczna tragedia ludzkiej mózgownicy!

PIEŚŃ I SŁOWO.

Jest w sercu ludzkim, gdzieś na dnie ukryta
Pieśń... a w głębi duszy – *Słowo Boże...*
Pieśń, złocistemi głoskami wyryta
I słowo wielkie, potężne jak morze.

Duch ludzki walczy na tym łez padole,
By rzec to słowo, zanim ciało skona...
Serce przechodzi porodowe bole,
By pieśń wyśpiewać, która w niem zrodzona.

Daremna walka! – daremne cierpienia...
Pajęczą nitkę ludzkiego istnienia
Złośliwa Parka przecina przedwcześnie...

Ale straszniejszą jest chwila zwątpienia
Tych, którzy w życiu oddali zawcześnie
Ostatnie słowo — najpiękniejsze pieśnie...

GWIAZDKA.

Wędrowała gwiazdka mała,
Pośród ciemnej, zimnej nocy...
Aż nareszcie spocząć chciała —
I wybrała dom sierocy.

Pomaleńku, na okienku,
Do kącika się zakradła...
— »Nie płacz, nie płacz synaleńku —
Na okienku gwiazdka siadła«.

I sieroty jasne sploty
Biel poduszki otuliła;
Legła główka, bez pieśczoły
I sen złoty dalej śniła...

Jasność biała sen rozwiała...
Gorzkie przyniósł dzień zawody:
Na okienku tam — wisiąta
Kropla mała brudnej wody.

MACIEK.

Biedny Maciek! biedne chłopię!
Włosy jasne, jak konopie,
Oczy bure, jak u kota —
Wiejski wisus i niecnota.

Opalone, poczerniałe
Jego nogi, ręce małe,
Potargana koszulina,
Śmiały wzrok i harda mina!

Ba! u Maćka twarde kości;
Choć to młode, ale zuch
Wychowany na wolności...
Nie zmoże go, choćby dwóch!

Aż tu proboszcz (nowa bieda)
Każe Maćka słać do miasta,
A i czekać dłużej nie da,
Bo do szkoły trza — i basta!

Ale Maciek nie chce szkoły,
Choćby sprali go, jak ścierkę!
Choćby go ciągnęły woły —
On nie pójdzie w poniewierkę.

I do miasta! — mój ty Boże,
To tak, jak u Bartka Krupy,
Co wywieźli go za morze
I nie wrócił do chałupy.

Jeszcze nieraz, po jesieni,
Śniegi spadną... ptak zanuci...
Potem łąka zazieleni...
Ale Bartek już nie wróci...

O mój Boże! o mój Boże,
A któżby pilnował krowy,
Żeby nie włąziła w zboże;
Ktoby płoszył wróble, sowy?

Kto będzie ustawiał kładki
I wybierał ptasie gniazda?
Komu będzie prawił gadki
O zbójnikach stary gazda?

A któż ciepło go otuli,
Z jarmarku przyniesie ciasta,

Jak zabraknie mu matuli? —
Nie! nie pójdzie on do miasta.

On ostanie przy zazuli
I przy siwku, przy Urszuli,
A choćby mu ręce skuli,
On nie pójdzie od matuli!

Biedny Maciek, biedna dusza;
Nie minie go ta katusza...

Porwali go, jak te katy,
I powlekli go przemocą
Za ten biały łeb kudłaty,
Choć się bronił całą mocą.

Na nic wszystko. Niech się żali;
Proboszcz chce! — Wyszorowali
Maćka ładnie i wyprali,
Wystroili, przyodziali
I buciska nowe dali
Z podkówkami z białej stali.

— »Niby panicz ci wygląda!«
Tak dziwują się ludziska.
Ale Maciek w dal spogląda,
Bo mu gardło coś zaciska

I nic nie chce, nic nie żąda,
Tylko małe pięści ściska.

A na boku, hań — u płota
Józek stoi, bosonogi,
Bartka Krupy syn, sirota...
— Czas gotować się do drogi!

O mój Boże, o mój Boże,
Już nie wróci! Serce boli
Jakby je krajały noże;
Oj! nie wróci już do roli.

A na boku Józek płacze.
— »Nie płacz! Józek, kiej ci radzę;
Jak tam ojca gdzie zobaczę,
To ci go tu przyprowadzę«.

W TERMINIE.

Przez zakurzone szyby poddasza
Blade, zimowe słońce zagląda
W małą izdebkę. Nikt nie zaprasza
Rzadkiego gościa i nikt nie żąda
Jego odwiedzin. Może nie widzą
Ci, co nad ciężką pracą skuleni
Tego natręta... Może się wstydzą
Swej brudnej nędzy, która do cieni
Nocnych przywykła więcej... A może,
Poczerwieniałą, z bezsennych nocy
Słabą powiekę to światło boże
Razi i męczy?...

Któż zgadnąć w mocy?

*

Szewska pracownia, warsztat...

Na Boga,
Spójrz! a twą pierśią szarpnie westchnienie
I mimowoli cofnie się noga

Wstecz, w przerażeniu: to grób! więzienie...
W jednej, maleńkiej, zatechłej izbie,
Z dziesięć tych tworów, ludźmi nazwanych,
Gnieździ się razem, dusi w tej ciźbie
I ledwo żyje z zapracowanych
Dniami i nocą krwawo pieniędzy...
Nie dziw, że blade mieszkańców lica:
W oknie — strach zimna, w drzwiach — wi-
[dmo nędzy
I przyczajona w kątach — gruźlica.
O! towarzyszka to stała, wierna;
Ona tak cicho w piersi się wtuli
Gdzie słaba, wątła natura bierna,
Tak ją pokocha, ujmie, rozczuli,
Że już do śmierci jej nie porzuci!

Dziwi się słońce... Na powitanie
Nikt mu piosenki nawet nie nuci...
Po długiej przerwie, także spotkanie?
I słońce дума: mali, zgurbieni,
W szczupły krąg zbici, przy głowie głowa —
Oni chcą chleba! a nie promieni...

Zwolna się dźwiga czupryna płowa,
Mała, dziecięca... cicho, ostrożnie,
Jakby się bała spłoszyć te blaski,
Co na niej siadły... A oczy trwożnie,

Onieśmiałone nadmiarem łaski,
Szerzą źrenice w niedowierzaniu:
Jestże to słońce prawdziwe? z nieba?
To, które dawniej, w życia zaraniu,
Milsze mu było nawet od chleba?...
Które do ojców chaty świeciło
Jasno, wesoło, niby anieli, — —
Ze snów chłopięcych pierwsze budziło
I wyciągało z rannej pościeli?...
A potem gnało hen — hen, daleko —
Jego i krówkę... Szli na pastwisko
Razem, we trójkę — tam, gdzie nad rzeką
Bogacza Kuby było ściernisko...
I przystawali po drodze czasem
Na małej łączce, wedle kościółka,
Albo na górcie, tuż tuż — pod lasem,
Gdzie ich witała bieluchna szkółka...
O! jak im dobrze było tak razem:
Jego krowisko trawkę skubało,
A słońce grzało, jakby żelazem
I złotem cały świat zalewało...

Dawno to było, może rok trzeci,
Lecz nie zapomnie o tem i w grobie...
To nie to słońce! co teraz świeci
W okienko, blade, jak po chorobie...
A może, może zmartwienia, troski

Tu w dużym mieście, tak je zgnębiły?...
— »O! wróć, słoneczko, do naszej wioski,
A tam odzyskasz zdrowie i siły!« —

I słońce znikło...

W małej izdebce
Półmrok rozlewa cień swój ponury.
Cisza... Coś w kątach chichoce, drepce,
Wreszcie wyłazi... pnie się do góry
Na pajęczyny gęsto zwieszzone,
Pełza po ścianie i po suficie..

.....
W brudny, drewniany trójnóg wtłoczone
Powoli więdną to młode życie.

WRACAĆ — NIE WRACAĆ?...

Wracać — nie wracać?... W noc utonąć ciemną,
Czy do balowej, jasnej wrócić sali?...
Czarne i puste ulice przede mną,
A tam — wre życie... Wracać, czy iść dalej?

W świetle kinkietów, skrzących żyrandoli
Wibrują drżące, muślinowe fale,
Przez które śmiały, bystry wzrok sokoli
Podziwiać może białe ciał korale.

Nieokreślone, ciepłe kwiatów wonie
Wieżą dyskretnie z ciał miękkich, gorących...
I żywszem tempem krew uderza w skronie
I zbiega w serce od spojrzeń palących.

*

Wiatr ostry mrozi, przenika do skóry,
Blade światełka majaczą w oddali;
Gęstym woalem zasłoniły chmury
Niebios sklepienie... Wrócić, czy iść dalej?...

GOŁĘBIE.

Na wysoki siadał dach
Ponad okiennicą
Biały gołąb, strojny gach,
Z białą gołębicą.

Wiosna była. Słońce lśni,
Przygrzewa rozkosznie —
I płynęły piękne dni,
Płynęły radośnie.

Na pieszczotach schodził czas...
Przyszła jesień marna,
A z nią przyleciała wraz
Gołębica czarna.

Zagruchała czarna, śmiała
I drugiego ranka
Odleciała... lecz zabrała
Białego kochanka!

Pochyliła się już biedna,
Stara kamienica...
A na dachu sama, jedna —
Biała gołębica.

POŻEGNANIE.

Bądź zdrowa!

Raniony strzałą amora

Odchodzę, by żyć w rozterce...

Bądź zdrowa? przenigdy!... Bądź wiecznie chora

Na twoje okrutne serce!

RADY.

Chcesz ludzi poznać? — dobrze, więc bacz:
Nie marudź, bo czas ucieka,
Nie *patrz* na wszystkich, jeno się *wpatrz*
W życie jednego człowieka.

Masz słaby żołądek, pij piwo zamiast wody,
Krajowe — ma się rozumieć — dla świętej
[zgody.
Gdyż naliczono (jeśli mnie pamięć nie myli)
W warszawskiej wodzie coś pięć tysięcy
[bakcyli!
W piwie są one również, jak to wam jest
[znane,
Lecz smaczniejsze i zdrowsze, gdyż — ugo-
[towane.

A gdyś już wszystką postradał monetę,
I gdy cię własna zdradziła kucharka —
Leć! leć nad Wisłę; tam ci da podniecie
Na dalsze życie: *miejska gospodarka*.

STRASZYDŁO.

...Lecz nagle spłoszył ją dzwonek;
Zamilkła i pofrunęła,
Jak szary, polny skowronek — —
A przed mem okiem mignęła
W białym wianuszku koronek
Nóżka — o dziwo! tak mała,
Jak u konika polnego...
Zniknęła z oczu, jak strzała.

I odtąd, do serca mego
Zakradło się jakieś lichy,
Które mi sypiać nie daje!
Niekiedy, siedzi w niem cicho,
To znowu stuka, przystaje,
Lub żarty niemądre stroi
I serce w kawałki kraje!
Nocy, ni dnia się nie boi...

Ale rzecz gorsza się stała:
Bo to urocze zjawisko
W koronkach, ta nóżka mała —

W głowie obrała siedlisko
I myśli me opętała...
Zaprawdę, przyznać się wstydzę:
Gdzie spojrzę, wszędzie ją widzę!
O niej wciąż myślę ciekawie
We śnie, na jawie...

DOBRA KREW.

Była w nim rycerska dusza,
Bo po mieczu i kądzieli
Stworzony był do kontusza,
Do konia i karabeli.

Jednak niezbadane losy
Nieraz manowcami wiodą:
Że u ojców puste trzosa
Został tylko — golibrodą.

Bywa gorzej. Toć nie chryja,
Nie można brać tego smutnie:
Jak kogo zaświerzbi szyja
To i brzytwą głowę utnie.

Tak myślał i nasz bohater
I śmiało wziął się do pracy:
Zmiał włosy (niczem wiater),
Podawał mydło na tacy.

Potem gości czyścił ładnie —
Przez dzień cały, bez wytchnienia...
A, że wszystko szło przykładnie
Awansował: »do golenia«.

Jak mu tylko brzytwę dali,
Dziwna zmiana w nim nastąpiła:
Bo, gdy poczuł ostrze stali,
Krew rycerska w nim zagrała.

Szykuje się, jak na bitwę:
Brodę zgoli na otręby!...
W ręku mocniej ścisnął brzytwę —
Raz-dwa! machnął w poprzek gęby.

»Aj, aj! rzną... ratunku! zbawcy«...
Nasz bohater traci minę...
A tu — ręka chlebodawcy
Już go dzierży za czuprynę.

CZEMU NIE?

Różne cieleta po świecie chodzą;
Niejedno naraz dwie krowy ssie...
Lecz jeśli krowy na to się godzą —
To czemu nie?

*

Całować bardzo panny się wstydzą,
Bo mamy mówią, że to złe...
Lecz jeśli mamy tego nie widzą —
To czemu nie?

*

Moryc nie głupi, jak się wam zdaje?
W interes włożył ręce dwie,
Więc jeśli jedną na procent daje —
Drugą ma nie brać?... czemu nie?

Panna Agata ma trochę grosza,
Lecz do ożenku — szczęście psie.
No, a jak wdowiec przyjdzie — da kosza?
Oj! nie, nie, nie!...

ŚMIEJĄCE SIĘ OCZY.

Lubię spoglądać w te jasne oczy,
Co zawsze promienieją,
I których nigdy smutek nie mroczy:
Zawsze się śmieją i śmieją.

Innym tak często opada głowa,
Żałość lub troska ich tłoczy,
A u niej zawsze wesołe słowa,
Zawsze śmiejące się oczy.

Obok niej, nieraz zawzięta, głucha
Walka życiowa się toczy — —
Ona — spokojnie patrzy i słucha
I ciągle śmieją się oczy.

Był czas, że w strugach krew ludzka broczy,
Łamie się stary porządek...
Ja podziwiałem wesołe oczy
I zdrowy u niej żołądek.

COŚ NIECOŚ Z CHEMJI.

Filozof nad księgą ślęczy,
Bada, wertuje, docieka
I mózg swój pytaniem dręczy:
Co jest istotą człowieka?

To jego jest obowiązkiem!
Ja z nim nie myślę wieść sporu,
Lecz twierdzę: człowiek jest związkciem
Węgla, tlenu i wodoru.

Czyli, że, innemi słowy,
Jest połączeniem chemicznem
I, według chemików mowy:
Połączeniem organicznem.

Te są w dwojakim gatunku,
O rozmaitej własności;
Zależy to od stosunku
Pierwiastków i od ilości.

Naprzykład: związek chemiczny,
Mężczyzną zwany ogólnie,
Jest śmiały i energiczny,
Bo tlen zawiera szczególnie.

A tlen — to złośnik! mój panie,
Co żadnych żartów nie lubi;
Niechaj mu w drodze ktoś stanie —
Zaraz go spali i zgubi!...

Oprócz tych, natura płodzi
Związki, tak zwane: kobiety.
W te wodór przeważnie wchodzi;
Inne też mają zalety:

Są one lekkie i płoche,
Kilka pierwiastków chcą na raz.
Popuścisz je tylko trochę —
Z innymi łączą się zaraz.

Jeśli się która wam zwierzy,
Że ona — prawdziwa cnota,
Dać jej na próbę należy
Pierwiastek — w rodzaju złota.

W końcu wspomnieć nie zaszkodzi,
Że oprócz tlenu, wodoru,

W skład mózgu ludzkiego wchodzi
Także cokolwiek fosforu.

Lecz tego jest już tak mało,
Że trzeba pomyśleć nad tem —
Czyby się ludzi nie zdało
Nawozić — superfosfatem.

KŁOPOT.

Usteczka twoje, karminowe,
Gdy cudnie rozchyli śmiech —
Tak chętnie zjadłbym (choć to grzech),
Jak konfitury malinowe.

Buziaki twoje, jak morele,
Porosłe w jedwabny mech...
Ach! za nie wytchnąć ostatni dech!
Lub dać je na deser, w niedzielę.

A oczy twoje, mój Boże,
Te jasne brylanty dwa...
Co z niemi począć, najdroższa ma?...
Zanieść do lombardu może?

TRA LA LA LA!...

O luba ma,
Wzniesź rzesów cień!...
Tra la la la!
Już świta dzień.

I warkocz spleć!
O droga ma...
Tra la la la!
Zaczyna dzień.

Prześniony raj...
Tra la la la!
Więc buzi daj
I nie bądź zła.

Już minął szął...
Rzuć smutek ten!
Prześniony sen
Puchem się stał.

Skończona gra
O luba ma!
Tra la la la!
Tra la — co?... iza?...

DZIADEK.

Pod kościołem dziaduś siedzi
Pomarszczony; pacierz klepie
I przechodniów licznych śledzi,
Żartobliwie mrużąc ślepie.

Zna ich wszystkich, starowina,
Nieomal, że po imieniu.
Dawno siada dziadowina
Pod kościołem, na kamieniu.

Zna on dobrych i złych ludzi;
A, że mowę ma też gładką,
Więc, gdy go już pacierz strudzi,
Tak rozprawia z swą sąsiadką:

»Widzi »pani«, ten pan tłusty,
Co tam idzie przez ulicę,
W zeszte żenił się zapusty;
Żonę ma i kamienicę.

»To nie dobrze, no bo proszę:
On znajomych swych się wstydzi!
Dawniej, nieraz dał dwa grosze,
Teraz dziadka już nie widzi.

»A, niech mu tam brzuch urośnie...
Dziadek nigdy źle nie życzy:
Postępujesz sobie sprośnie,
Pan Bóg w niebie ci policzy.

»Bywa także gorzej nieraz...
Różnie ludziom się powodzi.
O! naprzykład ten, co teraz
Do kościoła chyłkiem wchodzi.

»Chyłkiem, jakby się obawiał,
Że go Pan Bóg stąd wyrzuci.
To łajdaka także kawał!
Widzi »pani« jak się smuci?

»Jak się w suche piersi bije,
Do kamieni się przyciska...
Ale grzechów tem nie zmyje
I bogactwa nie odzyska!

»Przedtem, kiedy był bogaty,
O czem innem myślał zgoła:

Dziewki, konie, ładne szaty!
Ani zajrzał do kościoła.

»Jestem mocno przekonany,
Że nie pościł — nawet w piątek!...
Za to został ukarany:
Cały stracił swój majątek.

»Że tak skończy, Pan Bóg wiedział,
Bo ma litość nad grzesznymi.
Będzie krócej w piekle siedział,
Jak pocierpi tu, na ziemi.

»He he — dama! ta — w jedwabiach,
Widzi »pani« — co? — hrabianka?
Wróble gwizdzą o tych hrabiach!
To bankiera jest kochanka.

»Moja »pani«, co to było
Ze dwa lata temu może:
Wybiedzone to chodziło
W sukieneczynie jednej, Boże!

»A tu takie szczęście nagle
Na nią spada, jakby z nieba...
Ej nie! to jest szczęście djable!
Nie zazdrozczę tego chleba.

»Co nie było uświęcone,
To nigdy na bożą chwałę
Nie będzie jej policzone...
Takie szczęście — to nie trwałe!

»Ładną buzię spłóczą deszcze,
Przejdą prędko młode latka
I panusia siądzie jeszcze
Pod kościołem, obok dziadka«. —

I tak dalej dziadek gdera,
Odwrócony do sąsiadki;
A ta, lewą łzy ociera,
Prawą ręką zbiera datki.

CHRZAN I MUCHA.

- — »Służę pani!
A może pani jeszcze co pozwoli,
Naprzykład: comber barani?«
— »Nie nie, dziękuję; głowa trochę boli...
Proszę o kompot... O! dziękuję panu.
Czy rzeczywiście pan nie lubi chrzanu?«
— »Nie, pani; i chociaż przyznać się wstydzę:
Chrzanu nie znoszę, prawie nienawidzę!«
— »Ha ha!... pan wybaczy, lecz śmiać się
[muszę
Serdecznie... ha ha!... od śmiechu się duszę«...
— »Ależ wybornie! śmiech szczery — to
[zdrowie«.
— »Przepraszam pana: czy pan już po słowie?...
Pan nie rozumie?... Ot — czasem się zdarza...
Ha ha!... że kogoś, od stopni ołtarza —
Chrzaniem odprawia. Tak mówią — niekiedy.
Lecz pan się nie gniewa?«
— »Nigdy! Od biedy

I taki dowcip niezły, proszę pani,
A przedowcipny — z ustek panny Mani«.

— »Hola! to nowe. Takiej złościwości
Nie przypuszczałam w panu jegomości«.

— »Przepraszam panią...«

— »Nie! panie, nic z tego...

W tak łatwy sposób nie naprawisz złego;
Chyba, że...«

— »O pani! podaj tonącemu brzytwę...«

— »Proszę mi nie przerywać! bo pan bitwę
Przegra. A więc... Gdzież znowu pan spogląda?«

— »Na muchę, pani... Ona coś pożąda
Tam — na szyjce białej, gdzie złote sploty...«

— »O Boże! rozpacz... Już nie mam ochoty
I cierpliwości dalej tak gawędzić...

Czy pan rozumie?«

— »Więc — mam muchę spędzić?...

Milczysz?... O! — nie odbieraj mi otuchy...«

— »Panie!... A wreszcie... niech pan spędza
[muchy...«

BIAŁY WŁOS.

Przez noc wyrosła. Jak pajęczyna
Wyrosła srebrno-biała nić...
Podajcie kielich dobrego wina!
Za przeszłość moją będę pić.

Pić będę za nią — do dnia białego!
Bo bez niej wszak nie warto żyć...
Nalejcie wina! a szlachetnego,
Za moją przeszłość muszę pić.

Za młode serce i górne loty,
Za bystre oko, czarny włos,
Stalowe nerwy, śmiech szczerozłoty,
Za rojeń skarb! a pusty trzos.

Nalejcie wina! Czas do odwrotu;
Już słyszę pierwszy trąbki głos...
Strach zrosił czoło kroplami potu:
Na skroni srebrno-biały włos!

»MIA BELLA«.

...Cóż czynić?... Muszę pogodzić się z losem
O »*mia bella*«, ty — w gotyckim stylu.
A choć złośliwie, tuż przed moim nosem
Zamknęłaś furtkę do swego azylu —
Wytrwam w uporze! zatnę się jak drzwiczki
Niesmarowane od dłuższego czasu...

Rumieniec spłynął na białe policzki
I, jak u sarny, co wybiegła z lasu
Na obce pole, szerzą się źrenice
W niemem zdumieniu. Uwierzyć nie może
To marmurowe bóstwo bladolice,
By ten pokorny, zakuty w obrozę
Niewolnik opór śmiał stawić swej Pani!...

Więc moja »*bella*« odgrywa swą rolę:
Zinnem szyderstwem moją dumę rani,
Obojętnością próbuje mą wolę
Osłabić, złamać, do ustępstwa zmusić!
Och! bo rozumie to serce lodowe,
Że gdy niewolnik raz śmiał się pokusić

Zerwać swe pęta — to włożyć mu nowe!
Ale mocniejsze...

Wspaniała artystka!...

Zaprawdę, szkoda, że na myśli swoje
Nie położyłaś figowego listka,
Że tak wyraźnie mówią oczy twoje
To, czego nigdy nie powiedzą usta. —

Lecz teraz, piękna, wszystko ci wybaczę,
Gdyż we mnie radość i wesołość pusta,
Bo wolne serce w mojej piersi skacze!
Serce, co z długiej wydarte niewoli...
Dla ciebie niczem są życiowe burze
I ciebie serce nigdy nie zaboli,
Piękny posągu, wykuty w marmurze!

LETARG.

I znowu pożółkły liście!
I znowu powiędły kwiaty...
Z drzew suche wyrywa kiście
wiatr lodowaty.

Przyrodą senność owłada,
Bo w żyłach jej krzepną soki —
I zwolna, zwolna zapada
w letarg głęboki.

Już słońca niema na szczycie!...
Mgły szare krążą, wiatr wyje,
A słabe z wysiłku życie
w ziemię się kryje.

Słuchajcie!... W powietrznej toni
Głos jakiś na falach bieży:
To hejnał spoczynku dzwoni
zegar na wieży.

NOC LETNIA.

Cisza. Noc letnia rozpoczyna czary:
Budzi się ziemia, dziennym snem uśpiona...
Z czeluści ciemnych mgliste wyszły mary
I legły w okrąg matczynego łona.

Zmartwiałe kwiaty zwolna się podnoszą,
Prężą swe członki i perełki wody

W spieczone usta chwytają z rozkoszą:

Po dziennym poście — nocne przyszły gody.

Zazdrosne trawy, gorączką trawione,

Długie, wychudłe wyciągają ręce,

Chciwie pokarmu szukają, spragnione

Kropelki rosy, w tantalowej męce!

A ponad niemi pochyliły głowę

Drzewa-olbrzymy. Głębokie westchnienie

Pierś im rozsadza; odzyskują mowę

I cichym szmerem głoszą pozdrowienie:

»Bądź pozdrowiony za tę chwilę błogą

Ty, co noc czarną wysyłasz z ukrycia,

By snem ukoić tych, co żyć nie mogą,
By ze snu budzić tych, co pragną życia.

»Bądź pozdrowiony!«

A wiatry szumiące

Na swoje barki te słowa porwały
I hen poniosły po kwiecistej łące,
Przez złote pola, niebotyczne skały.

I w jednej chwili rozbudzone twory
Słowa pochwalne zawtórzyły echem:
Słowik zanucił, zahuczały bory,

A kwiaty tchnęły przecudnym oddechem...

W głębi ukryty, mały świerszczyk polny
Dostroił akord do słowicznych pieni;
A świętojański robaczek swawolny,
Krażąc dokoła, rzucił snop promieni.

Księżyc zdumiony rozwarł swoje oko,
Spogląda na dół i chmurzy się czasem...

A drobne gwiazdki w przestworzu, wysoko,
Patrzą ciekawie, zwabione hałasem.

Od ziemi łona zwolna się dźwigają
Jak wąż do góry — zimne, mgliste mary,
I, kręcąc głową wokół, podziwiają
Te tajemnicze, nocy letniej czary...

PAK RÓŻY.

W cichym zakątku ogrodu,
Pod rozłożystą jabłonią,
W zaroślach, gdzie o miłości
Słowiki nocami dzwonią,
Od wiatrów skryty i burzy —
Rozkwitał pąk białej róży.

Samotny był, lecz szczęśliwy. —
Gdy słońca złote strumienie
Przez gęste sączyły się krzewy
I rozpraszały półcienie
Skłębione u ich podnóży,
Do słońca śmiał się pąk róży.

A kiedy, w noc gwiazdziste,
Na niebo, na lazuruwe
Wypływał księżyc milczący, —
Ku niemu podnosił głowę

I z trosk się zwierzał, jak bratu —
Niewinny zarodek kwiatu.

Ach! niema szczęścia bez troski...
Dokoła brzęczały mile
Pszczoły i muszki figlarne,
Krażyły barwne motyle,
Przecudne, jak gra tęczowa —
I słodkie szeptały słowa.

O tajemnicach miłości,
O pocałunkach szeptały...
Daremnie! gdyż zamyślony
I smutny był pączek biały,
Bo wątpień przechodził męki:
Któremu oddać swe wdzięki?

I biadał nad swą niedolą,
Radził się słońca, księżycy
I rosy, która porankiem
Zwilżała mu białe lica...
Lecz nim czas zwątpień przeminał,
Pąk — w róży kwiat się rozwinął.

Gdy w cudny ranek majowy
Tłumionych pragnień potęga

Usta dziewicze rozwarła — —
Przyleciał motyl-włóczęga,
Rozpustnik... zakradł się z cicha
I wypił słodycz z kielicha!

W TAKĄ NOC...

Tajemnicza, letnia noc,
Niebo z gwiazd usiane...
Do ust zbliża dziwna moc
Usta ukochane.

Monotonny wody szmer
Usypia... kołysze — —
Błede światło górnych sfer
Promieniuje w ciszę...

Z nią i o niej tylko śnić!
Z ócz jej rosę zbierać...
Taką nocą tylko żyć!

.
W taką noc umierać.

KLIMEK BACHLEDA.

Wielki dzwonie, w serce bij!
Wietrze halny, w trąby dmij!...
Wy potężne starce-góry,
Głowy skłońcie. Jęk ponury
Leci w chmury
Rozwichrzone.
Skalne orły wystraszone,
Dzikie kozy przerażone!
Płaczem szumi stary bór:
Bo na marach rycerz gór...

*

Na wieczny sen ległeś — ty orli bracie,
Do trumny — ty wolny ptaku,
Nie w purpurowej, ani w złotej szacie,
Lecz w szarym, zdartym serdaku.

Herold nie głosi po świecie twej sławy,
Liść lauru nie zdobi skroni,

Godła potęgi, mocarnej buławy
Nie dierzysz w swej zimnej dłoni.

Ale za to, u twej trumny
Stoi w zwarty mur
Lud góralski! twardy, dumny,
Lud karpackich gór!

Ale za to, nad twą trumną
Stoją szczyty Tatr
I muzykę groźną, szumną,
Huczy halny wiatr!

*

Z wiatrem w zawody rwałś się do góry...
To było twoje życie — i twój grób.
Z orłami chciałeś wzbić się ponad chmury!
I w przepaść runął trup...

Bo górskie szczyty, jak cudne dziewice,
Zazdrośnie kryje dziki, skalny duch,
A kto chce wydrzeć jego tajemnice —
Tego rozbija w puch!

Lecz tyś wiedział, bohaterze,
Że urwisko śmiercią grozi,

A jednak życie w ofierze
Na szczyt niosłeś, co krew mrozi.

Bo tam, w skalnej rozpadlinie,
Wzywa ludzi, wzywa Boga
Nieszczęśliwy — i już ginie,
Dusi go śmiertelna trwoga...

Ciemno, straszno... z dołu jęki...
Błyskawica!... piorun siny...
Naprzód, naprzód! precz mi lęki,
Może matki syn jedyny?!

»Ratuj, bracie!«... Jezu — chmury...
Nic nie widać... Matko Święta!
W skałę zęby i pazury!...
Rwie się skała — o przekłeta!...

Zahuczał dziki, halny wiatr,
Omdlałą potrącił dłoń —
I rycerz padł!... o skały Tatr
Roztrzaskał szlachetną skroń.

Z ZIEMI — DO ZIEMI.

Teraz z ramion weźcie trumnę
I połóżcie ją na ziemi...
Tu — nad grobem; na krawędzi.
Wznieście wasze czoła dumne
I nie stójcież dłużej niemi,
Bo was, widzę, język swędzi.

Wam się dłuży to milczenie?...
Z mojej trumny wszystko słyszę:
Szepty wasze i krząkanie,
Tu westchnienie, tam westchnienie,
A najbardziej razi ciszę
Waszych nosów ucieranie.

Proszę panów! bardzo proszę
Wzruszające zacząć mowy
I boleścią rzucać hojnie.
Przymuszania się nie znoszę.

Wszak widzicie, żem gotowy
Słuchać waszych mów spokojnie.

A to bardzo dużo znaczy. —
Zaczynajcie! — Któż tam stoi
U mej głowy?... Pan redaktor?
»*Merci...*« On sam mówić raczy?
Śmiało! niech się pan nie boi,
Z redaktora niezły aktor.

Znamy, znamy go z tej strony:
Już oblicza, lis ten stary,
Ile dziennik na tem zyska.
Patrzcie! jaki rozczulony,
Drży, przeciera okulary,
Jednem okiem łzę wyciska.

Przestań, przestań, redaktorze!...
Gada... Niech cię wezmą kaci;
Patrz! — nieboszczyk, sam wzruszony,
Od łez wstrzymać się nie może,
Że go świat na zawsze traci,
Że był taki zasłużony.

Przestań! bo ci skandal zrobię
I odwrócę się w mej trumnie! —
Proszę iść tam, gdzie pieprz rośnie...

No, nareszcie! poszedł sobie...
Pięknie mówił i rozumnie,
Choć zezował przy tem skośnie.

A tam znowu co za chłystek,
Z bożej łaski — mówca nowy? —
I ten mówić się odważy?...
W czarny frak założył listek
(Zdaje mi się, że mirtowy);
Dobry kontrast — bladej twarzy.

Słucham, słucham... Co pan powie?
Wprawdzie nie mam przyjemności,
Lecz nie zważaj na me dąsy...
Co, co? bratem mnie pan zowie?
To już trochę bezczelności,
Mój młodzieńcze gołowąsy.

Ja nie miałem w życiu brata,
Nigdy, nigdy! od powicia...
A pamiętaj, piękny panie,
Niedorosły jeszcze w lata:
Kto bratem nie był za życia,
Nim po śmierci nie zostanie!

Sądzę, że już zakończycie
Na tem marne przedstawienie...

Cóż to? Z ziemi znów wyrosła
Ta obrzydła postać?... Skrycie
Wdrapała się na wzniesienie...
A! — kandydat to na posła!

Prędszej ziemię syp, grabarzu!
Nawet śmierć już nie ochroni
Przed nim, co jak potok spada.
Na balu, czy na cmentarzu,
Wszędzie jest i wszędzie goni
Za reklamą... wszędzie gada!

.
Dosyć!... zamilczcie... Nim ziemia runie
Na wieko trumny, ja wam wypowiem
Ostatnie słowo! Na czulej strunie
Waszej ja zagram; a może mrowiem
Wstyd wam przeleci po twardej skórze,
Wy — samolubstwa podłego stróże!

Wy, którzy chcecie błyszczeć, jak złoto,
Pięścią torować drogę po świecie,
Wy, co do bliźnich, zepchniętych w błoto,
Nigdy rąk bratnich nie wyciągniecie
I w inną stronę zwracacie twarze — —
Precz mi od grobu! wy — geszefciarze!

Tu nie jest miejsce waszych popisów!
Prawdziwa boleść za wami stoi,
Boleść milcząca... A chcecie bisów,
Idźcie do cyrku, panowie moi,
Aktorów życia rodzone syny — —
Precz mi od grobu! wy — arlekiny!!

* * *

Czemu twe oczy splakane?...
Po co tu przyszłaś — w żałobie?
Ach! kwiaty świeże, różane
Chcesz złożyć na moim grobie?

Patrz! jak do życia się śmieją...
Nie, nie kładź tych kwiatów tyle,
Bo one wszystkie zmarnieją
Na mojej zimnej mogile.

Tak, jak twe życie marniało
Przez lata, przy moim boku...
Nie płacz! bo dobrze się stało,
Że śmierć wyniosła mnie z tłoku.

Do ciężkiej taczki przykuta
I ty cierpiałaś, bez winy;

Z czarów młodości wyzuta
Zostałaś z mojej przyczyny.

Ostatnia prośba do ciebie:
Wybacz, że szczęścia nie dałem
Tej, którą chciałem mieć w niebie,
Jedynej, którą kochałem!

Już ciało spada do ziemi;
Mój duch podąży za tobą...
Idź! idź drogami nowemi,
A kwiaty — zabierz ze sobą.

— Kończ swoje dzieło! kończ już, grabarzu:
Nową mogiłę syp na cmentarzu,
Jakich sypałeś dotąd tysiące...

A ziemia krąży i świeci słońce
I gwiazd miliony w przestrzeni wiszą —
Głuche i nieme, bo byt jest ciszą...

— Kończ swoje dzieło! — Tak, kończ pośpie-
[sznie

To, co zacząłeś już bardzo wczesnie,
Bo w pierwszym życia mego początku...
Gdy z domowego wyszedł zakątku
Młodzieniec silny, zbrojny w zapały,

W wiarę hartowny i w ideały,
 Który się garnał do ludzi grona,
 Świat cały pragnął objąć w ramiona!
 Wtedy, grabarzu, na czystą szatę
 Rzuciłeś pierwszą ziemi łopatę.
 — Nieprawdaż, stary mój przyjacielu?
 O tak: »mój stary«, bo od lat wielu
 Ty nieodstępnie nade mną stałeś
 I po kolei wszystko grzebałeś.
 Wszystko!... *Nadzieję, Miłość i Wiarę*
 W Boga i ludzi, w ciała ofiarę,
 Krwi poświęcenie... O! stałeś wiernie,
 Wszystko grzebałeś — niemiłosiernie!
 Co tylko *Pięknem, Dobrem* się zwało —
 Poszło w mogiłę; zostało ciało...

— Kończ swoje dzieło! Na martwe czoło
 Syp ziemną górę

 Ziemia wokoło,
 Kurczy się ciało w zawartem łonie...
 Cisza bez końca... ziemia mnie chłonie...

SĄD.

W podziemiach zamku szczęk, gwar i wrzenie
Jakgdyby zbrojni się zwarli.
To sąd się zbiera na posiedzenie — —
A sądzić będą — umarli.

W starem zamczysku huczno i rojno...
Budzą się groźni rycerze
I do podziemia zstępują zbrojno,
W rdzawe szczękając pancerze.

Dziś ze swych trumien oni powstali,
Pradziady i ojce rodu,
Z grobów, gdzie cicho od wieków spali
W objęciach trupiego chłodu.

Dzisiaj głosować mają nad zdrajcą,
Choć dla nich to jest katuszą,
Bo ich potomek jest winowajcą,
Bo własną krew sądzić muszą! —

*

Cisza zaległa w grobowej sali...

Najstarszy z rycerzy wchodzi,
Ciężko opiera ręce na stali
I oskarżenie wywodzi:

»Twarde, bolesne będą me słowa
I serca zranią, jak strzała:
Oto shańbiona tarcza rodowa,
Co dumnie w górze wisiąca!

»Dłoń świętokradzka w błoto strąciła
To godło naszego rodu:
Tarczę szlachecką, co zdawien była
Chlubą całego narodu!

»A ten, co winnym jest tej podłości,
Co sprawcą hańbiących czynów —
To krew z krwi naszej, kość z naszej kości,
To jeden jest z naszych synów!

»On zmarnotrawił naszą puściznę,
Porzucił zamek prastary,
Przeszedł do wroga, zdradził ojczyznę
I zaparł się ojców wiary!...

»Do grobów doszła wieść hiobowa
I jako zmora nas dusi...

Rycerze! nasza tarcza rodowa
Dzisiaj zniszczoną być musi!

»A zdrajcę niechaj ziemia pochłonie,
Niech ginie z nędzy i głodu!
Spróchniałe nasze podnieśmy dłonie
I wyklinajmy go z rodu!!«

* * *

W starem zamczysku, jak baśń tu głosi —
Gwar, szcęk i łomot zawzięty,
A wiatr z podziemia jęki przynosi:
»Wyklęty z rodu! wyklęty!«...

SEN.

Na cmentarne to ustronie,
Kędy srebrna brzoźka rośnie —
Ułożyłaś swoje skronie,
Aby śnić o przeszłej wiośnie.

A poczciwy grabarz stary
W ziemi ukrył tak głęboko,
By snu nie zmałyły gwary,
Nie spłoszyło ludzkie oko.

Prześnij krótkie życie całe!...
A cmentarni towarzysze:
Kwiaty, trawy, brzozy białe —
Uszanują twoją ciszę.

Śpij spokojnie!... Snuj radośnie
Złoty sen na wspomnień dymie:
O przeżytej życia wiośnie,
O niedoszłej życia zimie...

GÓRNICY.

Dalej, górnicy! do pracy czas!
Posiłek zostawmy na stole,
Bo dzwonek z wieży przyzywa nas
Zastąpić braci tam — w dole.

Na pokrzepienie bierz wody dzban
I kawał czarnego chleba;
Do ciężkiej pracy pójdziem jak w tan!
Pędzić nas do niej nie trzeba.

Żelazo w rękę! na ramię młot!
Twardego bo mamy wroga.
Choć strugą spłynię z czoł naszych pot —
Nie spocznie ręka, ni noga.

*

Koło się kręci i warczą liny,
A wózek do nich przypięty

Z szalonym pędem spada w głębiny,
Niepowstrzymany, zawzięty.

Ciemne postacie stoją gromadką;
Migoce lampa górnicza
I bladym światłem oświeca rzadko
Czarne, posępne oblicza.

Zda się, że na wskroś ziemi przebita
Ta paszcza szybu bez końca,
Do której nigdy dzień nie zawita
I nigdy promyczek słońca!

Gdzie wiecznie czarne królują cienie,
Od których trwożnie ucieka
Wszystko, co żyje, wszelkie stworzenie,
Wszelkie! — z wyjątkiem człowieka.

Już dawno słońce zgasło nad niemi...
Wtem — wózek staje, jak wryty.
Dzwonek... Wysiadać!... to wewnątrz ziemi
I skarb w tej ziemi ukryty.

Tu cała rzesza postaci ciemnych
Rozbija skaliste garby,
Rwie, szarpie, ryje i z głębin ziemnych
Dobywa zaklęte skarby...

»Stuku-stuku« — biją młoty,
»Dzini-dzini« — dźwięczy stal...
— »Do roboty! do roboty,
Śmiało w czarną skałę wal!

»Niech się sypią twarde bryły
Z pod żelaznych waszych rąk...
Nie szczędź pracy! nie skąp siły!
Słodki będzie owoc mąk«.

Dobre słowo nie zawadzi
I pokrzepi znojnny los:
— »Patrz! jak w koło się gromadzi
Czarnych dyamentów stos.

»Jak stopione na ognisku
Poszczerbione złomy lśnią,
A od świateł naszych błysku
Drobne żyłki złotem skrzą.

»Oto jest nasz skarb zaklęty!
Oto naszej ziemi dar —
A w nim drzemie niepojęty
Jego życiodajny żar.

»Chłopcy! w górze śnieg i lody,
Mróz nie daje jeść i spać,

Zimno gnębi wsie i grody
I kostnieje nasza brać!

»Coraz bardziej zima ściska,
Nawet polny ginie ptak...
A tu — straszna chwila blizka:
Węgla niema! węgla brak!

»Więc, górnicy! bez odwłoki
Rąbmy skały dzień i noc:
Niech się sypnie w świat szeroki
Czarnych dyamentów moc!«...

»Stuku-stuku« — biją młoty,
»Dzini-dzini« — dźwięczy stal...
— »Do roboty! do roboty,
Śmiało w czarną skałę wal!«

POŻAR W KOPALNI.

— »Pożar w kopalni! Tysiąc ludzi w dole!
Tysiąc nieszczęsnych, co sekundy liczą...«
Piorunem spada w osadę górniczą
Ta wieść, tak straszna, że aż wierci w czole
I w mózg się wbija, włos na głowie jeży,
Twarze bladością śmiertelną powłóczy...

Już przeraźliwie dzwon na trwogę huczy,
Świstawka jęczy ze szybowej wieży,
A, oszalały z przest్రachu, tłum błądy
Do szybu biegnie z zapartym oddechem,
Bezdźwięcznym tylko powtarzając echem:
— »Pożar na dole!«...

A żywioł zagłady
Pochłania wszystko, idzie krok za krokiem,
Niepowstrzymany, świadom swej potęgi
I coraz dalsze zagarnia okręgi. —
Piekło, ukryte przed patrzących wzrokiem...
Ale górnicy, co stoją przy szybie
I ręce łamią w bezradnej niemocy,

Ci, wyobraźnią, widzą w mrokach nocy
 Ziemi pieczary, które, w zwykłym trybie
 Ich życia, domem są dla nich, rodziną!
 Widzą wyraźnie ich wylękłe oczy
 W przepaść wpatrzone, jak w głębi się toczy
 Walka straszliwa... Mija za godziną
 Godzina... Niema pomocy! Śmierć wszędzie...
 Ukryć się?... Ognie do ucieczki zmuszą...
 Uciekać?!... Dymy trujące uduszą...
 Niema ratunku! niema!... i nie będzie.

— »Za mną! do szybu!«

To sztygar górniczy

Garstkę odważnych do zjazdu prowadzi;
 A tłum umilknął; wkoło się gromadzi
 I, choć mu w duszy głucha rozpacz krzyczy
 A strach dygoce, on jeszcze się broni,
 I nie chce wierzyć w to, co się tu dzieje,
 Dokąd iskierka nadziei w nim tleje...

— Już są na wieży!...

I wraz tysiąc dłoni

Wznosi się w górę... Już ich z oczu traci
 Tłum rozmodlony... Koło się porusza —
 Jada! -- a z nimi razem tłumowi dusza,
 Do swych nieszczęsnych ojców, synów, braci!...

I zwolna płyną minutowe wieki
 Nad ludem kornym, cichym jak w kościele,

Co rozpacz, boleść w swoim własnym ciele
Zaparł i stłumił, a tylko powieki
Drżące, z pod których ciekną łzy rzęsiste,
Zdradzają burzę, która szarpie łona...

A tam, na dole, tysiąc ludzi kona!...

Zadrzała ziemia! i dymy ogniste
Z paszczy szybowej buchnęły do góry.
Mocą pożaru cały szyb objęty!...
Łamiał się kruche wieży fundamenty,
Walał się w gruzy popękane mury
I zasypują twardem rumowiskiem
Grób płomienisty!
.
. Noc cicha nadchodzi,
Kir swój rozwija, którym ból łagodzi
I rozpościera nad krwawem igrzyskiem.

A KTO DZIECIĘCĄ STRACIŁ WIARĘ...

A kto dziecięcą stracił wiarę,
Zapomniał kochać, zapomniał śnić,
Dziecięcych złudzeń zgubił marę,
Zaiste: ten nie wart jest żyć!

Z WŁOCH.

Noc księżycowa...

Po wodzie suną
Gondole czarne, lekko, jak cienie...
Z »*Canale grande*« ktoś brzęczy struną
Mandolinową ciche westchnienie ..
Roje ogników odbija łuną
Wodne zwierciadło, i jak marzenie
Brzmi serenada...

Ponad laguną
Noc księżycowa śle ukojenie...

Smutne się myśli snują w mojej głowie,
Gdy na was patrzę, potomki Cezara,
I gdy was słyszę, jak w swej śpiewnej mowie
Sławicie szpilki, obrazki, cygara:
Waszą tandetę, lub niemieckie braki...
Albo gdy widzę nieraz, jak turystę

Opada zgraja, jak żarłoczne ptaki,
I o napiwek żebrze!

O! zaiste,

Jest to bluźnierstwo, co o pomstę woła!...
Tu, gdzie potężne wyrastały głowy,
W kraju Tycjana, Michała Anioła
I Tintoretta i mistrza Canovy,
Tu, w tej prastarej kolebce kultury,
Gdzie naszej ery twórców leżą kości:
Dziś — rozwieszono koralików sznury
I bawidełka dla przejezdnych gości!...

Napróżno w przeszłość wyciągasz ramiona
I próżno w Rzymie szukasz Rzymianina!
Widzisz — handlarza, albo lazzarona,
Który o lirę z tobą spór zaczyna...

Lecz, jeśli wrażeń silnych czujesz żądę:
Jedź! jedź do Rzymu; nie wrócisz ze stratą.
Nowości wszelkie masz tu — za pieniądze,
Starożytności również — za opłatą.

A gdy wszelakie pokonasz mozoły,
Gdy się już każdej napatrzysz ruinie,

Muzea zwiedzisz i wszystkie kościoły:
Idź w górę miasta; stań na Palatynie!

Stamtąd zobaczysz, jak smutne się snują
Duchy pokoleń, które już wymarły,
I jak szczątkami przeszłości handlują
Ojców-olbrzymów poronione karły!...

PIK, ALBO TREF!

...I niechaj na mnie sklepienie runie —
Ja walczyć będę, jako lew!
Wypowiedziałem wojnę fortunie:
Ja! albo ona... Pik, albo tref!

Mnie nie odstrasza wasza wygrana...
Tchórz niech się cofa! albo kiep;
Jeszcze mnie szczęście znajdzie do rana,
A gdy nie znajdzie — kula w łeb!

Szyderstwem karmi mnie ta hołota,
Garnąc łapczywie moją krew.
Czerwienią błyszczy się góra złota:
Zdobyć ją muszę!... Pik, lub tref!

Dla siebie, dla niej zdobyć muszę...
Karo, lub kier!... tref, albo pik!...
Spokojny jestem, chociaż się duszę.
Przegrałem znowu... Cóż to? krzyk!?

Ach! nie, to śmiechy licznej galeryi...
Stawiam na pik!... Co pada?... tref?!
Ha ha! wybornie... Koniec komedyi!
Przegrałem życie
. Psia krew!!

SKAŁA.

Że naga, wystawiona na słońca spiekotę,
Że wiecznie skałą będzie — niechaj się nie żali!
Bo u nóg jej podstępna prowadzi robotę
Żywiół, co niszcząc — tworzy.

I fala po fali

Przychodzi, pieści, liże, a potem odpływa,
By sił świeżych zaczerpnąć na szerokiem morzu...

A kiedy od południa *Sirocco* się zrywa,
Albo *Bora* zawyje w północnem przestworzu —
Wtedy fala powraca do odpornej skały:
Coraz silniej napiera na twarde granity,
A przez drugie pędzona, ze szybkością strzały
Uderza! skacze w górę ponad skalne szczyty,
I, porwawszy drapieźnie kruszyny opoki,
W tył pada, ustępując miejsca nowej fali.
Pieni się... wre... kotłuje; dym idzie w obłoki...
Że wiecznie skałą będzie — niechaj się nie żali!

.

Nie wiem: może lat tysiąc, może więcej minie,
Lecz tam już zapisano, we wszechzycia planie,
Że kiedyś naga skała zatonie w głębinie,
Że prochem szarym legnie w wielkim oceanie.

A gdy spoczywać będzie, pogrążona w cienie,
Wód zielonych bezmiarem otoczona wszędzie,
Może, może jej błysnie przeszłości wspomnienie
I do słońca spiekoty znowu tęsknić będzie.

STARY GRÓD.

Stał gród prastary nad modrą rzeką — —
Pardon! nie modrą, raczej — brudnąwą
Z licznych kanałów, co do niej cieką,
I z błota, które szeroką ławą
Nagromadzone było na brzegu...
Albowiem był to zbiornik na śmieci,
Skład ekskrementów, grodzkiego śniegu,
Zarazem — miejsce zabaw dla dzieci,
Które, spłoszone miejskim rozgwarem,
Tu się zbierały w gromady liczne
I upajały swobody czarem...
O! miejsce było wprost — romantyczne...

Tylko (lecz proszę nie robić krzyku
I bez uniesień wysłuchać końca)
Mówiono sobie, że w kanaliku
Tym sielankowym, pod wpływem słońca,
Powietrze czasem bywa — nadpsute;
A nawet twierdził znawca nielada,

Że jest niezdrowe, że jest zatrute!
Lecz to na pewno była przesada...
To pewnie głosił poseł do dumy,
Który chciał także mieć swoje zdanie:
Lecz czyliż mogą płynąć perfumy
Korytem rzeki?! Dziwne żądanie...

Stał gród prastary, jedyny w świecie,
Nad brudną rzeką... Co? wy już wiecie?...

KOBIETA Z OGONEM.

— »Cóż to za herb z kobietą o rybim ogonie?«
Pytał obcy mieszkańca... Ten, nieco w żargonie,
Cmokając, odpowiada: »Co to komu szkodzi?
To jest warszawska panna, co u nas rej wodzi.
A że w tej toalecie wstydziła się słońca,
Więc jej ogon śledziowy dorobili z końca«.

PRYMADONNA.

Świat czarowny znów się rodzi...
Płomienista Muza wchodzi,
Wchodzi boska, wymarzona,
Nasza, nasza prymadonna!

Grzmot oklasków huczy w sali,
Oczy błyszczą, krew się pali,
Dreszcz zachwytu wstrząsa łona:
Prymadonna! prymadonna...

A na scenie, w złocie ryty,
Stoi posąg, jednolity,
Boska harfa w pierś ujęta,
Błyskawica w wzrok zakłęta!

Dyamentów blask tęczyowy
Skrami sypie wkoło głowy,
Ogniem spada na ramiona.
Prymadonna! prymadonna...

I krwią barwią się jej lica, —
Z ocz wystrzela błyskawica,
Znacząc pochód jej zwycięski...
Prymadonna nie zna klęski!

I drży w ręku wachlarz strusi;
Ona pierwszą być tu musi!
Nigdy drugą!... raczej skona...
— Oto nasza prymadonna!

MIEJSCE SPOCZYNKU.

Jak dobrze to miejsce wybrane!
Jak wabi, zaprasza nas mile
To łoże z zieleni usłane...
Spocznijmy! spocznijmy tu chwilę.

Zmęczone nam głowy wygodnie
Podtrzyma ten mały pagórek — —
A myśli, puszczone swobodnie,
U białych zawieszają się chmurek
I razem odleczą w przestrzenie...
Odeleczą zwątpienia i bole
I szczęścia daremne pragnienie — —
Poniosą je skrzydła sokole
W świat baśni, w zakłete krainy,
Nad źródła wieczystej młodości,
Różami kwitnące doliny —
Do czystej, prawdziwej miłości...

Jak dobrze to miejsce wybrane!

W pagórek wetknięty krzyż szary
Ramiona rozłożył stroskane
I kadłub pochylił swój stary.
Robaki pogryzły mu ciało
Szczerbią objęte powłoką,
A wewnątrz do reszty spróchniało
I w jamę zapada głęboką,
Dno której pokryły już kości...
Tu — kości człowieka, tam — próchno.
Znikome to ślady przeszłości!
A skargi przebrzmiały i głuchną.

I toczy się koło z rozmachem.
Twór patrzy i rozum wysila,
Podziwem przejęty i strachem:
Przeszłości już niema! — jest chwila.

Jest chwila, — lecz czemu tak czarna?...
Nad krzyżem zanucił skowronek;
Tam w dali — kapliczka cmentarna,
A nad nią kołysze się dzwonek — —
I jęczy i smutnie zawodzi,
Jak matka po zmarłym swym synku...
— »Któż płaczem zakłócać przychodzi
To miejsce wiecznego spoczynku?«

TRYPOLIS.

Już zbrojne oddziały stanęły w szeregu
I w górę podniosły sztandary;
Już morskie olbrzymy, drzemiące u brzegu,
Z kominów rzuciły kłęb pary.

W promieniach słonecznych błysnęła biel stali
I broni ognistej gardziele,
A ostry głos trąbki zadźwięczał w oddali
I mrowiem przeleciał po ciele.

Zachwiały się zbite, czarniawe kolumny,
Dusząca opadła z nich trwoga
I zagrzmiął krzyk jeden, potężny a dumny:
»Za morze, za morze! na wroga...«

* * *

Już płyną okręty, jak groźne lawiny
Z ciemnego wyparte krateru;

Już śmiało je wiedzie, przez morskie głębiny,
Straszliwy Duch śmierci u steru.

I dyszą i sapią niekształtne potwory
W stalowe zakute opony
I, w świetle księżyca, pełzają jak zmory
Po fali ruchliwej, zielonej.

Gdzie płyną i po co? wśród nocy i cieni,
Okryci błękitnym namiotem...
Zapytaj tych ludzi, co leżą znużeni
Na twardym pokładzie, pokotem.

Lub tamtych, co drzemią podparci żelazem
I w sennej gorączce majaczą.
Zapytaj: dlaczego? za czym rozkazem
Rzuceni w wędrówkę tułaczą?

I z krwawej wyprawy czy jeszcze powrócą?
Czy obca ich ziemia nie skryje?...
Zapytaj! — a słowa, jak piorun, ci rzuca:
»*Evviva!* — Italia niech żyje!«

*

*

Zasypia Trypolis... Noc idzie po świecie
I płoszy codzienną gonitwę...

Mdła postać wyrosła na starym meczecie
I szepce wieczorną modlitwę:

»Za słońce promienne, co krąży po szczycie
Wiedzione odruchem Twej ręki,
Za gwiazdy srebrzyste, wplecione w błękicie —
O dzięki Ci, Ałłach, o dzięki!

»Za źródło, co język spieczony nasz chłodzi,
Za kwiatów zapachy i wdzięki,
Za drzewo, co owoc soczysty nam rodzi —
O dzięki Ci, Ałłach, o dzięki!

»Za skrzydła opieki nad wiernym swym ludem
Rozwarte, jak ziemia szeroka,
Za prawdę zesłaną, co stała się cudem
Przez usta Twojego proroka —

»I za to, żeś Jeden, żeś wieczny w swym bycie:
W proch pada przed Tobą twój wszelki
I w imię Twej sprawy poświęci swe życie!...
O Ałłach! o Ałłach, Tyś wielki...«

Zasypia Trypolis... Mgła zbija się w chmury
I w rosy drobniutkie kropelki...
Nad morzem — rakieta strzeliła do góry — —
»O Ałłach! o Ałłach, Tyś wielki...«

JABŁOŃ.

Stara jabłoń we łzach tonie,
Stara jabłoń płacze, drży...
Wiatr ją muska po koronie
I otrząsa kwiaty-łzy.

Pieszczotliwie na nią dmucha
I rozrzuca biały kwiat...
— »Czemu płacze ma starucha?
Może młodych żal jej lat?«

Stara jabłoń, poruszona,
Cichą skargą szumi w dal:
»Łez wykwitłych z mego łona
I straconych żal, ach! żal...«

BŁĘDNY RYCERZ.

Śpi błędny rycerz, o pień dębu stary
Plecami wsparty, z uśmiechniętą twarzą,
Na którą cieniem kładą się konary...
Bór sennie szumi, ptaki leśne gwarzą
I wieść radosną w całym lesie dzwonią,
Że piękny rycerz do nich przybył w gości...
Dziewicze kwiaty wstydliwie się płonią,
Szepcząc nieśmiałe wyznania miłości.

Śpi błędny rycerz i śni o swej pieśni...
Szmer lasu cichnie i zamiera zwolna,
A z suchych liści, mchu, z zielonej pleśni,
Wyływa postać powiewna, swawolna,
Cudnej rusałki, leśnych duchów córy
I lekkim krokiem w stronę dębu zmierza...
Z małym paluszkiem, wzniesionym do góry,
Staje nad głową śpiącego rycerza
I wzrok zatapia w obliczu młodziana,
Wpatrzonem w senne, czarowne marzenia...

I ciche, lekkie, jakby morska piana,
Jak podmuch wiatru — słowa i westchnienia
Na twarz śpiącego spływają z oddechem
Cudnej rusałki. — A śpiewacy leśni
Słowa schwywane powtarzają echem:
»Tyś znów do życia wskrzesił mnie w swej
[pieśni«.

UJAZDOWSKA NOC.

Noc majowa... noc miłości...
Zapach kwiatów... czar...
Chwile zwątpień i radości
Zabłąkanych par.

Szepty ciche, łzy, wyznania
Przytłumione mąk...
Urywane, krótkie zdania,
Drżący uścisk rąk...

Szmer zachwytów i czułości,
Zakłęk szczerých moc...

.
Noc majowa... noc miłości —
Ujazdowska noc!...

DYPLOMACYA.

A zatem: wilk jest syty, lecz i owca cała...
Bo chociaż jedna strona odniosła zwycięstwo,
To i drugiej się również należy pochwała;
Tych — pochwalmy za rozum, tamtych znów —
[za męstwo,
Albowiem: ten ma słuszość i tamten swą
[racyą...
A po cichu się cieszymy naszą — dyplomacyą.

ŻABI KRÓL.

Jam król jest wszechwładny jeziora,
A władza ma sięga daleko;
Lecz ciało i dusza ma chora,
Bo słońce ujrzałem kaleką.

I żyję — żywotem pokuty...
Bez ramion spłodzony, bez skrzydeł,
Jam wiecznie do ziemi przykuty,
Do szarych, błotnistych mokrzydeł.

I próżno ze srebra i z tęczy,
W mieniącym się ciągle kolorze,
Utkany mój pałac pajęczy
Do nóg mych faluje w jeziorze.

I próżno poddanych mych świta,
W zaroślach nadbrzeżnych zebrana,
Okrzykiem radości mnie wita,
Mnie, władcę swojego i pana.

Krew moja królewska się burzy
I piersi rozsadza tęsknota:
Do słońca chcę lecieć z kałuży!
A ciało zapada — do błota.

Bom zrodzon jest królem-kaleką,
Więc ginę, świadomy niemocy...
Dni moje posepnie się wleką
I tęsknię już tylko — do nocy.

I kryję się w wodnej otchłani.
A kiedy wypływam z niej nocą —
Witają mnie wierni poddani
I smutnie rechocą... rechocą...

ŻÓŁTY DJABEŁ.

Na szczycie drzewa zasiadł kruk
I kracze złe nowiny:

»He he! panowie — bacznosc! wróg!
Budzą się djable syny.

»He he!... zaspane oczy trze
I pręży gnuśne ciało
Mąż skośnooki... Będzie źle!
Jeśli się już nie stało.

»Hi hi!... Nad brzegiem wielkich rzek
Spoczywał tak spokojnie
Niejeden rok, niejeden wiek,
Cichutko, bogobojnie.

»I takie próchno, taki trup
Otwiera oczy nagle
I w wykopany pluje grób!...
Nie wstyd ci, żółty djable?

»Tak! — wstydz się, stara mumio, wstydz!
I właż do swojej dziury;
My tu snujemy za was nic
Postępu i kultury!

»A w nasz nie wolno wchodzić kram!
Djabelskie, żółte syny,
Bo zastrzykniemy wszystkim wam,
Za skórę, gram morfiny.

»I rozkażemy dalej spać
I słowo zdusić w wargach...
Nie wolno wam udziału brać
W dyplomatycznych targach!

»Nie nadszedł jeszcze na was czas,
Wy wszakże — napół dzicy!...
Więc wierzyć nam, i słuchać nas,
Wy — słudzy, niewolnicy!»

Tak krakał kruk i zadarł nos...
Lecz żółty już nie słucha,
Bo z góry nań zawołał głos,
Że z ciała on i z ducha!

PRZESTROGA.

...Twe słowa rozplyną się w głuszy,
A stary zostanie ład...
I zwolna do twojej duszy
Zwątpienia wsączy się jad.

I gorycz wypełni twą czarę,
Niemoc oplącze, jak gad,
I zdusi młodzieńczą wiarę
I zapal twych młodych lat!

Cierń ostry zakrwawi ci nogę,
Nim wejdiesz w twych złudzeń świat...
— Weź ten talizman na drogę:
Zawiędły na piersi kwiat.

TRENY WSPÓŁCZESNE.

Inne czasy, inni ludzie,
Inne prawa i zwyczaje...

.

Serce się dalibóg kraje,
Gdy rozmyślam w mojej budzie,
Niecو większej od kurnika.
(Nie wiem jak go nazwać trzeba —
Ten mój lokal, blisko nieba,
O rozmiarach gołębnika).

Dzień okryty jest żałobą,
Gdy spoglądam w studnię ciemną.
(Ach! sześć pięter jest pode mną,
A dwa jeszcze mam nad sobą)...
Lecz ja za to nie mam żalu,
Nie mam żalu do nikogo!
Tylko drogo, strasznie drogo —
Gospodarzu mój, szakalu!

A on grozi komornikiem,

I ma prawo, święte prawo!...
Co tu począć? myślę łzawo;
Może zostać — rozbójnikiem?

Niema rady, pójdę w lasy,
A sposobność gdy się zdarzy:
Obrabuję gospodarzy!
— Trudno, panie!... takie czasy.

PANI MODA.

Zmurszała kora ludzkiego pnia,
Zmysł piękna zanikł i prostota.
Bohaterami dzisiaj są dnia:
Manekin strojny i kokota.

Ród ludzki spodłał i zmarniał gust,
Natury wyparła się sztuka.
Dziś ideałem: gumowy biust,
Złoczone zęby i — peruka!

Fałszywe ciało, obłudny gest
I śmiesznych przesądów ołtarze!
Nie to czcić mamy, co pięknem jest,
Lecz to, co *pani Moda* każe.

Już niema świeżych, różanych lic!
Bo warstwa pokryła je szminki.
Już ciął nie widzisz, zdrowych jak rydz,
Są tylko: sznurówki, zapinki...

I biedny człowiek nie wie gdzie iść,
Gdzie zwrócić ma oczy łaknące:
Zielony, skromny, figowy liść
Wyparły jedwabie szumiące!

WRONY.

Toczy się chyżo promienista kula
Po wklęsłej drodze i w przestwór zapada,
A za nią wicher rozpasany hula
I wron złowieszczych pędzi czarne stada.

A od północy, od wschodu, zachodu,
Gdzie tylko spadnie skrzydlata gromada —
Wyrasta widmo zarazy i głodu,
Przekleństwo wojny, nienawiść i zdrada.

.

I kula promienista wstrzymuje się w biegu;
Blaskiem krwawym przyświeca jeszcze jedną
[chwilę
I spogląda, u niebios zawieszona brzegu:

Krzyż do krzyża się tuli na wielkiej mogile — —
Mrok wilgotny opada i kładzie się nisko
Na szare i milczące ludzkie cmentarzysko.

O SIGNORINA!

Przed okiem wirują szkarłaty,
Krew ogniem zagrzała się wina...
Do wonnej, panieńskiej komnaty —
Ach! wpuść mnie, o *Signorina!*

Po drucie gibkiego powoju,
Co śmiało w twe okno się wspina —
Wejść pozwól do swego pokoju,
O piękna! o *Signorina!*

Patrz: światła w latarniach pogaszą,
Dwunasta już bije godzina
I duchy złośliwe tu straszą;
Więc otwórz, o *Signorina!*

Jedwabną kotarą zakryta
Nie słyszysz, jak błaga chłopczyzna?
Nie widzisz, jak rozpacz go chwyta?...
Nareszcie! — o *Signorina!...*

DO STRUMYKA.

Cicho, cicho płyn po trawie,
Przez szczeliny wodę sącz...
Serca, które drżą w obawie,
Srebrną wstęgą złącz.

.

W pustej izbie matka siwa
Łzy ukradkiem ściera wciąż...
Białą głową góral kiwa,
Stary góral, mąż.

W kącie małe zawiniątko
Już od wielu czeka lat...
Poszło młode góralątko
Na zarobek, w świat.

Na zarobek poszedł młody,
Tam, gdzie strumyk spływa z gór...
Płyną, szemrzą bystre wody,
Lasy szumią wtór...

A gdy nocą gwiazdy sine
W dole rozpędzają mrok,
Stary góral na dolinę
Orli puszcza wzrok.

A skowronek gdy zadzwoni
I rozbudza nowy dzień,
Łzy gorące w strumień roni
Siwej matki cień...

.

Cicho, cicho płyn po trawie,
Przez szczeliny wodę sącz...
Serca, które drżą w obawie,
Srebrną wstęgą złącz.

OFIARA.

ARCYKAPŁAN.

Noc szatą okrywa się szarą
I gwiazdy odchodzą już z nieba;
Ostatnią, największą ofiarą
Gniew Bogów przebłagać nam trzeba.

KAPŁANI.

Ostatnią, największą ofiarą
Gniew Bogów przebłagać nam trzeba.

KAPŁAN I.

Już piętrzą się smolne polana,
Stos drzewny dotyka już chmury.

KAPŁAN II.

W proch wgniotły się nasze kolana.

KAPŁAN I.

Już słomę zgarnięto i wióry,

Co jasne rozpalą ognisko,
Nim światła na niebie pogasną.

KAPŁAN II.

Godzina ofiary już blisko.

KAPŁAN I.

Co złożym na stosie?

ARCYKAPŁAN.

Krew własną...

RYCERZ OBCY.

Czas przerwać tę orgię straszliwą.
— Poganie! wstrzymajcie ofiarę,
Ja niosę wam wiarę prawdziwą,
Od Boga przysłaną wam wiarę!

ARCYKAPŁAN.

Kapłani, zapalcie łuczywo...

RYCERZ OBCY.

Słuchajcie! słuchajcie, poganie,
Pan głosi wam dziwy nad dziwo:
— »A słowo me — ciałem się stanie!«

KAPŁAN I.

Co znaczy ta mowa przybłądy?

ARCYKAPŁAN.

Pozostaw rycerzu w spokoju
Nas wszystkich i nasze obrzędy.

RYCERZ OBCY.

Nie wolno ustąpić mi w boju
O boskiej nauki zdobycze!
A gdy się nie lękasz pogromu
Stań, starcze! oblicze w oblicze
I zaprzecz mi prawdę, bez sromu.

ARCYKAPŁAN.

Na słowa mnie walczyć nie godnie,
Bogowie sędziami są losu...
— Kapłani! zapalcie pochodnie
I ogień ponieście do stosu.

KAPŁANI.

Zapalmy smoliste pochodnie
I ogień ponieśmy do stosu.

RYCERZ OBCY.

Wstrzymajcie! wstrzymajcie się jeszcze
I słyszcie wyznanie mej wiary.
— Poganie! wam wszystkim obwieszczę:
Bóg krwawej nie żąda ofiary!
Bóg jeden, jak prawda jedyna.

Bóg, który lud, grzechem spodlony,
Odkupił własnego krwią Syna!

KAPŁAN I.

On bluźni!

KAPŁAN II.

To człowiek szalony.

KAPŁAN I.

Niech głową on hardą przepłaci
Te słowa bluźnierstwem szydzące!

RYCERZ OBCY.

Ha! śmieszni; tam za mną mych braci
Już idą dziesiątki, tysiące!
Tysiące, rycerzy kościoła.
— Otwórzcie! poganie, swe oczy.
Wszak oprzeć się nikt już nie zdoła
Potędze, co falą się toczy...

KAPŁAN I.

Bogowie!... zaiste — tam w dali —
Patrzajcie: tłum groźny się zbliża...

KAPŁAN II.

Biada nam! las święty się pali.

KAPŁAN I.

A w górze — nad nimi...

RYCERZ OBCY.

Znak krzyża.

KAPŁAN II.

Las trzeszczy w ognistej powodzi...

KAPŁAN I.

Omdlałe z przestachu drżą nogi...

ARCYKAPŁAN.

Ofiary już chwila nadchodzi.

— Kapłani! rozstąpcie się z drogi.

(wstępuje na stos)

Za chwilę rozwidnią się mroki...

— Otoczcie stos kręgiem pierścienia

I patrzcie, jak dymne obłoki

Do góry wytrysną z płomienia...

Pójdź bliżej, ty wierny kapłanie,

I podłóż ogniste narzędzie.

KAPŁAN II.

Niech wola twa czynem się stanie.

(podpala stos)

RYCERZ OBCY.

Stój! stójcie!... ten starzec w obłądnie!...
I prośby nie wzruszą was moje?

KAPŁAN II.

Twe ramię napróżno się pręży.

KAPŁAN I

Ja zbliżyć do stosu się boję:
Z płomienia dochodzi syk węży.

ARCYKAPŁAN.

Kapłani!... Znikome jest życie
I człowiek, co dźwiga je w łonie...
Tę łunę czerwoną widzicie?
To święty, nasz święty gaj płonie!...
Ten łomot, co krzyki go głuszą —
Słyszycie?... To święty dąb pada!
Ofiarne ołtarze się kruszą,
To wiary ojcowskiej zagłada!
— Nad krajem szaleje los srogi
I w mrokach pogrąża go nocy...
Na pastwę rzuciły nas Bogi!
A nigdzie i znikąd pomocy.

KAPŁANI.

Na pastwę rzuciły nas Bogi,
A nigdzie i znikąd pomocy...

KAPŁAN I.

Zbliżają się dzikie okrzyki...
Ucieczką ratować się trzeba!

KAPŁAN II.

Już skaczą ogniste języki
Po smolnem podłożu...

RYCERZ OBCY.

O nieba!
Zejdź! starcze... on żywcem się spali!...

ARCYKAPŁAN.

Rzucone tam w górze są kości
I ważą się losy na szali...
— Kapłani! nie będzie litości,
Bo nasza za wielka jest wina...
Tam patrzcie: na ołtarz ofiarny
Krew spadła, krew Bogów ich syna!...
Tam patrzcie: rozpięty krzyż czarny,
Jak orzeł zatoczył swe skrzydła,
I wznosi się mocą ich wiary!
Precz z serca tchórzliwość obrzydła!...
Za mało! za mało ofiary,
A Bogów zelżonych gniew wielki.
— Kapłani, widzicie? stos płonie...

RYCERZ OBCY.

Zwęglone pękają już belki,
Żar pryska... dym starca już chłonie!

ARCYKAPŁAN.

Kapłani?... milczycie kapłani?!...

KAPŁAN I.

Ja nawet nie mogę z przestachu
I słowa wydobyć ze krtani...

ARCYKAPŁAN.

— Więc zginie rodzina bez dachu
I naród bez wiary wyginie!...
— Bogowie! — niech płomień wystrzeli
I moja śmiertelna krew spłynie
I niechaj się w ogniu spopieli!
— Bogowie!... Za małą ich duszę,
Za braci trwożliwą niewiarę —
Ja w popiół przed wami się kruszę
I składam z popiołu ofiarę!
— I niechaj te prochy, powstałe
Z śmiertelnych zapasów i boleń,
Użyźnią jałową tę skałę,
Dla nowych w przyszłości pokoleń!

.

— Bogowie!! cud niechaj się stanie!...

.
Za mało ofiary... za mało...

KAPŁAN II.

Za tobą! o arcykapłanie...

(rzuca się w ogień)

RYCERZ OBCY.

— A słowo ciałem się stało...

(stos płonie).



SPIS RZECZY.

	Str.
Wieczny tułacz	1
Toast	4
Dar	6
Poeta	7
W inny kraj	9
Pustelnik	10
Lew	12
Dwie gwiazdy	14
Z dalekich krain	16
Tam steruj, żeglarzu...	18
Fata morgana	19
Do ataku	21
Powrót	22
Bez serca	24
Myśl	27
Pieśń i słowo	28
Gwiazdka	29
Maciek	30
W terminie	34
Wracać — nie wracać?...	38
Gołębie	39
Pożegnanie	41
Rady	42

II

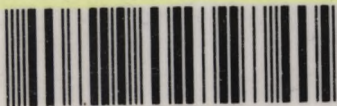
	Str.
Straszydło	44
Dobra krew	46
Czemu nie?	48
Śmiejące się oczy	50
Coś niecoś z chemji	51
Kłopot	54
Tra la la la!...	55
Dziadek	57
Chrzan i mucha	61
Biały włos	63
Mia bella	64
Letarg	66
Noc letnia	67
Pąk róży	69
W taką noc	72
Klimek Bachleda	73
Z ziemi — do ziemi	76
Sąd	83
Sen	86
Górnicy	87
Pożar w kopalni	91
A kto dziecięcą stracił wiarę...	94
Z Włoch	95
Pik, albo tref!	98
Skała	100
Stary gród	102
Kobieta z ogonem	104
Prymadonna	105
Miejsce spoczynku	107
Trypolis	109
Jabłoń	113
Błędny rycerz	114
Ujazdowska noc	116
Dyplomacya	117

III

	Str.
Żabi król	118
Żółty djabeł	120
Przestroga	122
Treny współczesne	123
Pani Moda	125
Wrony	127
O Signorina!	128
Do strumyka	129
Ofiara	131

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317603



000-317603-00-0

